Nr. 12. Lwów, 15. czerwca 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PIĄTY ZJAZD ŁOWIECKI.

W numerze tym podajemy już sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa za czas od 16 czerwca 1900 do 16 czerwca 1901, zamknięcie rachunkowe za r. 1900 i preliminarz na r. 1901, program zjazdu i porządek jego obrad, wreszcie regulamin strzelania.

Dołożyliśmy wszystkich starań, aby już obecny numer zawierał materyały do rozpraw podczas zjazdu, sądząc, prawdopodobnie słusznie, że członkowie Towarzystwa będą nam wdzięczni za wcześniejsze, niż w innych latach, podanie przedmiotów obrad.

Kończymy ponownem zaproszeniem do wzięcia jak najliczniejszego udziału w obradach Towarzystwa i w zapasach na strzelnicy.

Sprawozdanie

z czynności Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego za czas od 16. czerwca 1900 do 16. czerwca 1901.

Liczba członków w roku bieżącym wzrosła o tyle, że na r. 1901 w preliminarz możemy wstawić w dochodach kwotę 11.000 koron, jako należytość od 1100 członków i prenumeratorów. Spis członków, obecnie do Towarzystwa należących, jest już przygotowany i będzie załączony do następującego numeru „*Łowca*“, poczem będziemy umieszczali w każdym numerze, pod rubryką „Sprawy Towarzystwa“, zmiany, jakie w składzie członków Towarzystwa zajdą.

Niestety, pod względem regularności wpłacania wkładek, nie możemy szanownego Zgromadzenia zaspokoić wiadomością, że wkładki te w należytym czasie wpływają — owszem, w okresie sprawozdawczym był nawet czas, że z powodu chwilowego braku funduszów, nastąpiła pożałowania godna zwłoka w wydawaniu „*Łowca*“. Dla tego też na tem miejscu zwracamy się jeszcze raz z gorącą prośbą do wszystkich tych członków Towarzystwa, którzy z nadsyłaniem wkładek zwlekają, aby po nadesłaniu przekazu przez Biuro Towarzystwa bezwłocznie wkładki uiszczali.

Stosownie do tego, co zapowiadaliśmy już w ostatniem sprawozdaniu, wynajęliśmy lokal na pomieszczenie Biura Towarzystwa. Ze względu na wzrastające czynności Biura i na potrzebę stałej pracy w biurze, w godzinach stałych, w których członkowie mogliby zasięgnąć wymaganej informacyi, powierzyliśmy załatwianie funkcyi biurowych członkowi naszego Towarzystwa i byłemu delegatowi powiatowemu p. Ludwikowi Józefowiczowi, który wolny od innych zajęć, może cały czas swój poświęcać sprawom Towarzystwa.

Na tem miejscu uważamy sobie za obowiązek, złożyć należyte podziękowanie Członkowi Wydziału Towarzystwa, p. A. Dzikowskiemu, za wykonywanie przez lat trzy funkcyi skarbnika, połączonych z niemałym trudem a w czasie braku funduszów, nawet ze znacznemi przykrościami. Obecnie inkasuje wpływające wkładki Biuro Towarzystwa, a mianowicie p. Józefowicz, poczem lokuje je w Banku krajowym na książeczkę czekową — wydatki asygnuje członek Wydziału i zastępca sekretarza p. Seweryn Krogulski.

Okazało się jednak z praktyki ostatnich lat, w których reorganizacya Towarzystwa została dokonaną, a zaznaczyła się tak znacznem zwiększeniem liczby członków, iż bardzo często załatwienie spraw ważniejszych, a przecież nie na tyle ważnych, aby wymagały zwoływania posiedzenia, cierpi na tem, że Biuro Towarzystwa, nie chcące i nie mogące brać na siebie odpowiedzialności, pozbawione jest możności porozumienia się z prezesem lub wiceprezesem Towarzystwa, gdyż stałe miejsce ich zamieszkania leży po za Lwowem. Od dłuższego też czasu poruszoną została kwestya wzmocnienia prezydyum jeszcze godnością drugiego wiceprezesa, któryby jednak zamieszkiwał stale Lwów, tak, żeby sprawy wyżej wymienione, i w ogóle sprawy nagłe, mogły być natychmiast załatwiane.

W tym celu stawia Wydział tę sprawę na porządku dziennym posiedzenia.

Rzecz ta wstrzymała wniesienie gotowego już podania, wystosowanego do c. k. Namiestnictwa w sprawie uchwalonej w roku zeszłym zmiany statutów, nie byłoby bowiem stosownem w krótkim stosunkowo czasie starać się dwukrotnie o zmianę statutu.

Petycyę do W. Sejmu w sprawie zmiany §. 41 i w sprawie udzielenia Towarzystwu części funduszów otrzymanych z kart łowieckich na poparcie rozwoju łowiectwa w kraju, wnosimy równocześnie.

Mamy nadzieję, że obie te petycye w tym roku pomyślnie załatwione zostaną.

Z zamknięcia przekonać się mogą Szanowni Członkowie Towarzystwa, że era niedoborów w roku bieżącym się kończy, daj Boże, na zawsze. Nastąpiło to dzięki oględnemu gospodarowaniu Wydziału funduszami Towarzystwa, wskutek czego w wielu rubrykach wydatków powstały zaoszczędzenia, podczas gdy rubryki dochodów nie zawiodły. Gdyby wszyscy członkowie, podobnie jak znaczna ich część, uiszczali w należytym czasie wkładki, możnaby sprawę funduszów Towarzystwa uważać za zupełnie uregulowaną. Miejmy nadzieję, że w przyszłości i do tego przyjdzie i że Towarzystwo stać będzie o własnych siłach, bez potrzeby zewnętrznej pomocy.

W roku bieżącym poraz pierwszy przystąpi Towarzystwo do nadania nagród dla straży łowieckiej. Na fundusz na te nagrody złożyły się odsetki od funduszu im hr. Józefa Potockiego i kwoty nadesłane przez p. hr. Mycielską i p. Radcę Lanikiewicza, na których ręce zostały one złożone jako dobrowolne kary za przekroczenia myśliwskie.

W roku bieżącym ustępują w myśl przepisów statutu następujący członkowie: pp. Piotr Hirsch, Exc. Witold Korytowski, ks. Andrzej Lubomirski i Franciszek Szczerbicki. Wydział wnosi ponowny ich wybór jakoteż ponowny wybór dwóch zastępców, których los wskaże jako ustępujących.

Zamknięcie rachunków za r. 1900, podajemy na stronicy 3-ciej

Preliminarz na r. 1901.

Dochody:

1.	Od 1100 członków i prenumeratorów .	11.000 kor.
2.	Za inseraty	1.200 „
	Razem .	12.200 kor.

Wydatki:

1.	Druk „Lowca“	5.000 kor.
2.	Inne druki	200 „
3.	Redakcya i Administracya jak w r. 1900	2.880 „
4.	Kontrola rachunkowa	480 „
5.	Wysyłka „Lowca	680 „
6.	Honorarya autorów	300 „
7.	Ilustracye	800 „
8.	Marki i wydatki pocztowe . . .	120 „
9.	Na nagrody im. hr. Józefa Potockiego .	60 „
10.	Walne Zgromadzenie i Zjazd łowiecki .	200 „
	Do przeniesienia .	10.720 „

Zamknięcie rachunków

galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego za rok 1900.

I. Rachunek kasy.

L. p.	Dochody	K.	h.	L. p.	Wydatki	K.	h.
1	Zapas początkowy	438	96	1	Ekspedycya i koszta pocztowe . .	1.244	78
2	Wpisowe	92	—	2	Druk „Łowca" i inne druki . . .	5.632	86
3	Wpłaty członków	9.387	88	3	Prenumerata czasopism	55	76
4	Wpłaty prenumeratorów	287	52	4	Klisze do „Łowca"	608	76
5	Zwrot kosztów pocztowych . . .	92	12	5	Honorarya autorów	304	—
6	Dochód z inseratów	1.889	52	6	Płace { a) Redakcyi i administ. 1.123 / b) Kontrola rachunkowa 480 }	1.603	—
7	Nadzwyczajne dochody	460	—	7	Nadzwyczajne wydatki	809	12
8	Za sprzedane odznaki	70	60	8	Kursor i służba	165	—
				9	Czynsz	127	—
				10	Za zbieranie anonsów prowizya . .	500	—
				11	Spłata zaliczek lat dawnych . . .	1000	—
				12	Koszta odznak (zaległość)	220	—
				13	Urządzenie bióra (inwentarz) . . .	110	50
				14	Zapas kasowy	337	82
	Razem . .	12.718	60		Razem . .	12.718	60

II. Rachunek zysków i strat.

L. p.	Dochody	K.	h.	L. p.	Wydatki	K.	h.
1	Wpisowe	92	—	1	Niedobór z roku 1899	392	62
2	Wpłaty członków uiszczone 8187·88 / „ „ zaległe 820·—	9.007	88	2	Ekspedycya i koszta pocztowe .	1.152	66
				3	Druk „Łowca"	5.632	86
3	Wpłaty prenumeratorów	287	52	4	Prenumerata czasopism	55	76
4	Należytość za inseraty	1.000	—	5	Klisze do „Łowca"	608	76
5	Nadzwyczajne dochody	21	—	6	Honorarya autorów	200	88
				7	Płace a) Redakcyi i administ. 820·— / b) Kontrola rachunkowa 480·—	1.300	—
				8	Kursor i służba	165	—
				9	Czynsz	127	—
				10	Za zbieranie anonsów	500	—
				11	Nadwyżka dochodów czyli majątek własny Towarzystwa	272	86
	Razem . .	10.408	40		Razem . .	10.408	40

III. Bilans majątku.

L. p.	Stan czynny	K.	h.	L. p.	Stan bierny	K.	h.
1	Zapas w gotówce	337	82	1	Zaległe zaliczki	2.458	62
2	Zwrot za odznaki	381	40	2	Zaległe należytości		
3	Zaległe wpłaty członków	820	—		*a)* Płace . . . . . 380·— K.		
4	Wartość inwentarza	204	50		*b)* Drukarnia . . . . 65·60 „		
5	Zaległe należytości za inseraty . .	1.463	36		*c)* Podatek . . . . . 30·— „	475	60
				3	Nadwyżka stanu czynnego	272	86
	Razem . .	3.207	08		Razem . .	3.207	08

	Z przeniesienia .	10.720 kor.
11. Mieszkanie		720 „
12. Służba		180 „
13. Nadzwyczajne		200 „
14. Pokrycie reszty niedoboru z lat poprzednich		380 „
	Razem .	12.200 kor.

Wnioski Wydziału:

1. Walne Zgromadzenie przyjmuje sprawozdanie niniejsze do wiadomości.
2. Walne Zgromadzenie udziela Wydziałowi absolutoryum z rachunków za r. 1900.
3. Walne Zgromadzenie uchwala załączony preliminarz dochodów i wydatków na r. 1901.

Wiceprezes:
Tadeusz Czarkowski-Golejewski.

PORZĄDEK DZIENNY
Walnego Zgromadzenia członków gal. Tow. łowieckiego
z dnia 30. czerwca i 1. lipca 1901.

1. Zagajenie Przewodniczącego.
2. Sprawozdanie z czynności Wydziału Towarzystwa za czas od 16. czerwca 1900 do 16. czerwca 1901.
3. Zamknięcie rachunków za r. 1900.
4. Preliminarz na r. 1901.
5. Sprawa dodatkowej zmiany statutu Towarzystwa.
6. Sprawa ogólnego kongresu łowieckiego zwołanego na dzień 9 marca 1901 przez wiedeński „Jagdclub“.
7. Sprawa udzielenia nagród im. hr. Józefa Potockiego.
8. Wnioski i interpelacye członków.

Program zjazdu łowieckiego
w dniach 30. czerwca i 1. lipca 1901.

Dnia 30. czerwca i 1. lipca o godzinie 10 rano walne zgromadzenie w sali gmachu domen i lasów przy ul. Kopernika l. 22.

Dnia 1. lipca o godzinie 3½ po południu popisowe strzelanie na strzelnicy wojskowej.

REGULAMIN
popisowego strzelania uczestników Zjazdu łowieckiego, urządzonego przez galicyjskie Towarzystwo łowieckie w dniu 1. lipca 1901 o godzinie pół do 4. po południu na strzelnicy wojskowej.

I. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 80 kroków o cztery nagrody:

1. Nagroda: Magazyn na 300 naboi (dar Towarzystwa łowieckiego).

2. nagroda: Figura z bronzu z zegrem (dar miejskiego Towarzystwa łowieckiego). we Lwowie.

3. nagroda: Wieszadło z rożkami i psią głową (dar członka Towarzystwa p. Dzikowskiego).

Początek o godzinie 4 po południu.

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków o trzy nagrody:

1. nagroda: Necessaire do podróży (dar Towarzystwa myśiiwskiego im. św. Huberta we Lwowie).

2. nagroda: Kaseta na cygara (dar wiceprezesa komitetu urządzającego popisowe strzelanie, hr. Juliusza Bielskiego jun.).

3. nagroda: Futerał na strzelbę (dar bełzeckiego Towarzystwa łowieckiego).

Początek o godzinie 4½ po południu.

III. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych (do dzika) o trzy nagrody:

1. nagroda: Zegar z onyxu z 2 wazami (dar prezesa Towarzystwa Romana hr. Potockiego).

2. nagroda: Stelaż na broń z rogów (dar wiceprezesa Towarzystwa p. Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego).

3. nagroda: Kaseta na cygara z okuciem z bronzu (dar Towarzystwa łowieckiego).

Początek o godzinie 5 po południu.

IV. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych (do lisa) o trzy nagrody:

1. nagroda: Zegar w oprawie z rogów (dar lisowieckiego Towarzystwa łowieckiego).

2. nagroda: Srebrna papierośnica (dar prezesa komitetu urządzającego popisowe strzelanie p. Witolda Korytowskiego).

3. nagroda: Kałamarz z bronzu z dzikami (nagroda dam).

Początek o godzinie 6 po południu.

V. Strzelanie z pistoletu na 25 kroków o trzy nagrody:

1. nagroda: Garnitur na wódkę z bronzu (nagroda dam).

2. nagroda: Jeleń z bronzu (dar Towarzystwa łowieckiego).

3. nagroda: Kałamarz z bronzu (szpony orle), (dar Andrzeja ks. Lubomirskiego).

Początek o godzinie 5½ po południu.

VI. Strzelanie do kul szklanych o trzy nagrody:

1. nagroda: Kałamarz z bronzu z gluszcem (dar Towarzystwa łowieckiego).

2. nagroda: Pistolet Browninga w szkatule (dar komitetu urządzającego popisowe strzelanie).

3. nagroda: Torba podróżna z futerałem na strzelbę (dar Towarzystwa łowieckiego).

Początek o godzinie 6 po południu.

§. 1. Do udziału w strzelaniu ad III. i V. są uprawnieni tylko członkowie i delegaci galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, do strzelania ad I. II. IV. i VI. członkowie Towarzystwa, uczestnicy zjazdu i osoby przez Towarzystwo zaproszone.

§. 2. Zgłoszenie do każdego z wymienionych rodzajów strzelania, ma nastąpić najpóźniej na 15 minut przed rozpoczęciem strzelania.

Zgłoszenia przyjmuje komitet na miejscu urzędujący.

§. 3. Wpisowe od każdego rodzaju strzelania wynosi 4 korony.

§. 4. Każdy ze strzelających może używać własnej broni myśliwskiej t. j. strzelb i sztućców, z wykluczeniem

sztućców tarczowych, z lunetami i gukierami, tudzież mannlicherów szybkostrzałowych. Przy strzelaniu ad V. wolno używać tylko pistoletów tarczowych, ciągnionych.

§. 5. Przy strzelaniu ad. I., II., III. IV., i V. daje każdy ze strzelających 5 strzałów bezpośrednio po sobie następujących.

§. 6. Strzelanie odbywa się tylko z wolnej ręki.

§. 7. Porządek strzelania będzie ułożony alfabetycznie według nazwisk uczestników, względnie przy strzelaniu ad I. i II. powierzony losom, gdyby wiatr zapędzał dym na linię strzelających.

§. 8. Średnica czarnego przy strzelaniu ad I. i II. wynosi 20 centimetrów, przy strzelaniu ad V. do 4 cm. — Suma uzyskanych punktów rozstrzyga o celności w strzelaniu.

§. 9. Przy strzelaniu do kul szklanych, strzela każdy raz po raz do 5 kul.

Do kuli chybionej z jednej lufy, wolno z drugiej lufy dublować.

Przy równej ilości kul zbitych decyduje ilość strzałów.

§. 10 Jeżeli broń zawiedzie, może być strzał powtórzony.

§. 11. Strzał dany wbrew przepisom regulaminu, uważa się jako chybiony.

§. 12. Przy strzelaniu do tarcz ruchomych, przedstawiających zwierzynę, wolno złożyć się do strzału dopiero po daniu sygnału dzwonkiem. — Tarcza przedstawiać będzie w strzelaniu ad III. dzika, a przy strzelaniu ad IV. lisa.

§. 13. Strzelanie ad IV. (do lisa) i strzelanie ad V. (z pistoletów) będzie się odbywało równocześnie i przy tych strzelaniach będą funkcyonowały dwa odrębne sądy rozjemcze.

§. 14. Przyznanie nagród, jakoteż rozstrzyganie spornych kwestyi, należy wyłącznie i nieodwołalnie do Sądu rozjemczego.

W skład tego Sądu wchodzą: Juliusz hr. Bielski sen., JE. Jenerał-porucznik Albert v. Koller, Jenerał major v. Lang, Wit. Korytowski, Juliusz hr. Tarnowski, Juliusz hr. Bielski jun., Tadeusz Czarkowski-Golejewski i Stanisław Piegłowski.

Panów P. T. Członków Towarzystwa uprasza się, ażeby się jawili z odznakami Towarzystwa. (Członkowie Towarzystwa, którzy odznak nie mają, mogą je otrzymać na miejscu).

Tadeusz Czarkowski-Golejewski. Roman hr. Potocki.



Wyprawa myśliwska Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO do Sudanu.

(Dalszy ciąg.)

Osady Arabów nad Nilem Niebieskim składają się prawie wyłącznie z chat, a raczej szałasów, zbudowanych z łodyg rośliny „dury" — sorgho, a gdzie rośliny tej nie ma, z grubej trawy dżunglowej. Chaty te mają kształt walcowaty, o ścianach sięgających ledwie ramion człowieka i pokrytych stożkowatą strzechą. Jedne tylko niewielkie drzwi prowadzą do wnętrza, okien zaś nie ma wcale. Posiadłości zamożniejszych mieszkańców składaja się z kilku takich chat, ogrodzonych wspólnym plotkiem z gałązek akacyi.

Gdyśmy stawali na nocleg, zajeżdżaliśmy zawsze do szeika, który wychodził zwykle na nasze spotkanie. Wynoszono natychmiast „angareby" — rodzaj tapczanków na niewysokich nóżkach — i pokrywano je zwykłemi plecionkami z liści palmowych, a w razie zamożności właściciela — wschodnimi dywanikami. Synowie lub niewolnicy szeika przynosili nam w tykwach świeżą wodę lub lemoniadę. Następowała przymusowa rekwizycya, polegająca na tem, że babom wracającym od rzeki zabierano wodę do naszego obozu, co jest rzeczą przyjętą w całym Sudanie, a która bynajmniej nie wywołuje opozycyi ze strony poszkodowanych białogłów (nie wiem, czy w ogóle można tak nazywać czarne, jak smoła murzynki).

Z Louni wyruszyliśmy, gdy już dobrze rozedniało, droga tu bowiem dość nierówna, a księżyc w ostatniej kwadrze przyświecał słabo. Od czasu do czasu mijaliśmy głębokie wyrwy, jakiemi w porze deszczowej woda spływa do Nilu. Dżungla przybierała miejscami charakter niskopiennego lasu, podszytego wysoką trawą, zeschłą w tej porze roku. Spotkaliśmy po drodze dużo tropów arielów (*Gazella Soemmeringi)* i mory *(Oribia montana)*, a nawet w kilku miejscach trafiliśmy na pojedyncze sztuki, lecz te się na strzał zejść nie dawały, a nie było czasu uganiać się za niemi. O godzinie 10-ej dotarliśmy do osady Wod-Na'am i tuż pod wsią rozbiliśmy obóz na wysokim brzegu Nilu.

W chwili, gdy zajęty byłem preparowaniem, do kolekcyi, zabitej pentarki, nadbiegł od rzeki właściciel wielbłądów i oznajmił nam, że widział hypopotama. Pobiegliśmy wszyscy głęboką wyrwą na dół, aż na sam brzeg rzeki. Postaliśmy może z 5 minut, gdy naraz pośrodku Nilu wynurzył się z wody łeb potwora, lecz tylko widać było same nozdrza i oczy. Zwierz dmuchnął potężnie i zanurzył się w wodzie. Widziałem go jeszcze dwa razy w odstępach mniej więcej 5 minut, poczem wróciłem do roboty.

Podczas śniadania nadszedł jakiś Arab, oświadczając nam, że w bliskości sąsiedniej osady widział razem 4 lwy i że mieszkańcy okolicznych wsi boją się z domów wychodzić. Hrabia zadecydował przeto, że tam zanocujemy i że sprobuje zasiąść w zeribie. Wyruszyliśmy też jak zwykle przed 2-gą i po trzygodzinnym marszu stanęliśmy w tej dziwnej osadzie bez nazwiska, złożonej z kilku chat, otoczonych zeribą. Rozbiliśmy obóz na zewnątrz zeriby, wielbłądy jednak, konie i osły zamknęliśmy na noc wewnątrz z obawy przed lwami. Hrabia, nie czekając obiadu, poszedł z ludźmi na wskazane przez krajowców miejsce, aby mieć czas przed nocą zeribę urządzić. Wziął ze sobą sztuccry cal. 450 i 303, a także akumulator elektryczny do oświecania w nocy. Nie miał hrabia wielkiej nadziei na spotkanie ze lwem, bo według zdania miejscowych Arabów włóczyły się one w okolicy nie codzień, a hrabia silnie był przekonany o swym pechu, stawiając za przykład 19 nocy, spędzonych daremnie na zasadzkach w Somalilandzie. „Idę — mówił mi — do zeriby *par acquit de conscience*".

Była to dla nas pierwsza noc, spędzona w dżungli, a nie we wsi. Rozrzucone w nieładzie pakunki, skrzynie,



I.

kufry, siodła wielbłądzie, rozpalone ogniska w różnych stronach obozu, a przy nich nich grupy Arabów i sudańskich murzynów — stanowiły malowniczy widok. Namiotu nie kazałem rozbijać, gdyż przy ciepłych tutejszych nocach wolałem spać na powietrzu; tylko nad łóżkiem mojem rozciągnięto muślinowy namiot *(la moustiquère)*, mający mnie chronić od komarów i wszelkiego rodzaju nieproszonych owadów. Hrabia nazywał te nasze mustikery sarkofagami, gdyż rzeczywiście zdaleka robiły wrażenie białych nagrobków.

Zjadłszy sam jeden obiad i zapisawszy dziennik, położyłem się spać. Łóżko moje wysunięte było poza obóz o jakie 15 kroków, więc mimowoli przychodziło mi na myśl, że to przecież nie jest tak bardzo bezpiecznie spać *à la belle étoile* w miejscu, gdzie się lwy włóczą. Mimo to jednak sen szybko zmorzył zmęczone marszem ciało. Zasnąłem.

Niedługo jednak spałem, gdy mnie obudził nieopisany zgiełk w zeribie: psy zawzięcie ujadały, konie rżały, osły ryczały, wielbłądy parskały — słowem hałas nie do opisania. Siadłem na pościeli i uniosłem mustikera wpatrując się w stronę przeciwną obozu, gdyż widocznie lew był niedaleko i zwierzęta go poczuły. Musiał zeribę i obóz nasz obchodzić, psy bowiem rzucały się się to w jedną, to w drugą stronę. Spostrzegłem też, że w obozie ludzie się pobudzili, rozpalając przygasłe ogniska; słychać było gwar rozmów.

Nie powiem, żebym był zupełnie spokojny w tem położeniu; wstałem nawet i podszedłem kilkanaście kroków ku gąszczom w nadziei, że przy żywszem świetle ognisk zobaczę co może; lecz napróżno oczy forsowałem wróciłem więc do łóżka i starałem się zasnąć. Długo jednak sen uciekał z mych powiek; wściekłe ujadanie psów i niepewność sytuacyi rozbudziły mnie do tego stopnia, że ani myśleć można było o zaśnięciu i było już dobrze po północy, gdy nareszcie tyle pożądany sen zmorzył moje powieki. Gdym się następnie w nocy obudził, cisza kompletna zaległa w obozie, ogniska przygasły, psy przestały szczekać. Lew poszedł sobie do dyabła.

O brzasku wstałem, gdy już cały obóz był w ruchu. Służący kairski, Assad, dodany nam specyalnie do obsługi stołu, podał mi herbatę. Nikt w obozie nie słyszał strzału hrabiego, więc widocznie zasadzka się nie udała. Jakoż, gdy dobrze rozedniało, nadszedł i sam hrabia. Lew włóczył się gdzieś niedaleko, rycząc przez znaczną część nocy, lecz do zeriby nie przyszedł; słyszał też hrabia panterę, lecz i ona nie dała się wziąć na przywiązane koźlę.

Ładowano wielbłądy, gdy naraz rozległy się krzyki: „Ariel, ariel!“ I rzeczywiście w odległości nie więcej jak 200 kroków od obozu spostrzegliśmy w pełnym galopie stado tych pięknych antylop — sztuk conajmniej ze czterdzieści. Złapaliśmy sztucery i pobiegliśmy za niemi. Stado stanęło na jakie 300 kroków: strzeliliśmy i jedna sztuka poszła wraz z innemi kulejąc. Biegłem za niemi, mając w ręku sztucer hrabiego cal. 303 z jednym tylko ładunkiem, gdyż w pośpiechu więcej nie wziąłem. Stado, nie zatrzymując się, uciekało i już nam za krzakami ginęło, gdy naraz nie wiadomo z jakiej przyczyny, jedna sztuka oddzieliła się od reszty i zawróciwszy na miejscu skierowała się prosto na mnie. Przykucnąłem na ziemi i znakiem zmusiłem do tego ludzi biegnących za mną. Piękny zwierz w szalonym galopie pędził ku mnie i już myślałem, że ten mi się nie wykręci. Lecz gorączka myśliwska wszystko popsuła. Antylopa była jeszcze na jakie 80 kroków, gdym strzelił, a byłaby mi pod same nogi wpadła, gdyż prosto na mnie pędziła. Po strzale skręciła tylko nieco od pierwotnego kierunku i ze smutkiem patrzeć musiałem, jak defilowała nie więcej, jak 40 kroków, a ja już w lufach nie miałem ładunku.

Gdyśmy wrócili do obozu, ładunek już był gotów wyruszyliśmy też bez zwłoki. Zaznaczyć tu muszę, że na osadzie Wod-Na'am (tam, gdzieśmy dnia poprzedniego widzieli hypopotama) kończy się uprawa dury*). Już dalej nie spotyka się tych nieskończonych łanów o sterczących, suchych badylach, które w duszy naszej budziły zwątpienie, bo cóż tam za zwierzynę spotkać było można? Odtąd jechaliśmy już ciągle dżunglą. Zmienił się też i charakter osad ludzkich. Dotychczas wsi spotykało się wyłącznie na otwartych miejscach, otoczone polami dury. Teraz spotyka się już tylko małe osady, złożone z kilku szałasów,

*) Pisałem już, że „dura“ jest to roślina, podobna do kukurydzy, lecz zamiast kaczana, ma rodzaj kłosa, jak proso i ziarno drobne. Krajowcy sieją ją podczas pory dżdżystej i żną wysoko, zostawiając badyle na gruncie.



II.

rozrzuconych wśród dżungli, lub po brzegach rzeki i jeziorek, o jakich wyżej wspomniałem. Same szałasy są już innego typu: formy czworograniastej, z płaską strzechą, zbudowane są wyłącznie z trzcinowatej trawy dżunglowej. Otacza je zawsze zeriba z kolczastych gałęzi drzew akacyowych. Po parogodzinnym marszu, koło godziny 9-ej, dojechaliśmy do dawnego łożyska rzeki, w pośród którego leżało spore jeziorko. Ponieważ wszystkie nasze dalsze etapy wypadają na brzegach tego łożyska, więc muszę je opisać, abyście mieli pojęcie o charakterze okolicy.

Łożysko to przedstawia się w formie doliny, szerokiej na 300 kroków do 1/2 wiorsty. Z dwóch stron okala je niewysoki brzeg. Od rzeki jest ono oddzielone pasem ziemi, na kilkaset kroków szerokim i zarośniętym trzcinowatą trawą tak wysoką, że się w niej jeździec wraz z koniem kryje zupełnie. Sama dolina jest zarośnięta w części zieloną murawą, a w części suchą, niewysoką trawą, sięgającą kolan lub pasa człowieka. Od czasu do czasu w pośród doliny spotyka się mniejsze lub większe jeziorka i kałuże wody, jako pozostałość z pory dżdżystej. Mniejsze z nich wysychają zupełnie, w większych woda utrzymuje się aż do następnej pory dżdżystej. Zwykle nad brzegami tych rezerwoarów spotyka się małe osady krajowców, którzy znajdują w stojących wodach pewien rodzaj ryby z gatunku sumowatych.

Sposób łowienia ryb jest tu jedyny w swoim rodzaju. Miejscowi Arabowie, w liczbie kilku lub kilkunastu, posuwają się linią od jednego końca jeziorka do drugiego, uderzając w wodę na chybił trafił, rodzajem harpunów na bardzo długich tykach. Bóg wie, ile razy taki rybak uderzyć musi napróżno, zanim jedną rybę złowi. Że jednak łowią, mieliśmy tego liczne dowody, spotykając zawsze w osadach zapasy suszonej ryby; nieraz też kucharz nasz, Bohos, kupował od nich świeżo złowione, co nam bardzo stół nasz urozmaicało.

Wspomnione jeziorka roją się zwykle od wodnego i błotnego ptactwa. Stada żórawi, pelikanów, czapel, ibisów, gęsi, kaczek, kulików etc. etc. ożywiają nadzwyczaj te pustkowia. I rzecz godna zanotowania: wszystkie te ptaki, zwykle tak ostrożne w krajach cywilizowanych, tutaj nie boją się człowieka i podpuszczają zwykle na dobry strzał śrótowy. Wiadomo np. jak ostrożnym ptakiem jest pelikan; tymczasem nad brzegami Niebieskiego Nilu podpuszcza tak blisko, że razu pewnego hrabia sfotografował stado tych ptaków, złożone z kilkuset sztuk.

(*Łowiec polski, Sztolcman*). (D. c. n.)



TOKUN GÓRAL.

Opowiadanie z życia cietrzewia.

Krople ciepłego dżdżu padały wieczorem, brzozy wydzielały pierwszą, właściwą sobie, przejmującą woń, płowordzawe, podmokłe, mszarne kępy czerwieniły się od złotych promieni słońca; suchemi miejscami natomiast przerzynał się blask fioletowy.

Na srebrzysto szarych dachach szop, rozsypanych na torfowiskach ciosano i przybijano do późnej nocy; wszędy przebłyskiwały świeżo przytwierdzone deski. A skoro ustał łoskot toporów i młotów i gdy księżyc wyłonił się z pomiędzy czarnych choin — odezwał się najpierw drozd — a po nim zabębnił gdzieś wysoko, pod niebem, kszyk..

W powietrzu czuć było, że coś musiało zajść i to coś stanowczego, że coś się z drzymki ocknęło lub też



III.

że coś martwego z martwych powstało; że rozprzestrzenia się coś uroczystego, radosnego, może wielkiego. A jednak wszędy trwa jeszcze wstydliwa wstrzemięźliwość, czcią przejęte wyczekiwanie.

Młody kogut z mszarnej pieleszy odczuwał to siedząc na gałęzi brzozy. Uczuwając drzenie w całem ciele roztaczał ustawicznie swe lustro, z którego był tak dumny i to nie tylko on sam, lecz cały ród, gdyż było ono odznaką wyższego pochodzenia, pochodzenia z błękitnych gór, które hen daleko, zamykały widokrąg.

Rozpościerał pióra, gdyż napadł go nieprzyzwyciężony kurcz, a przytem wypręzając nabrzmiałą gardziel wyszeptał po cichutku „terrojoj — szu — szu, szu". Ale wycedził to całkiem pocichutku, gdyż nie śmiał dobyć głośniejszego tonu. W tym sezonie musi przedstawiciel „śmietanki" szczególniej na się uważać; wstrzemięźliwości tej nabył już w czasie swego, choć niedługiego żywota a jest ona wskazana zwłaszcza wśród zamieszkującego mszarne kępy motłochu bez odznak szlachetniejszego pochodzenia. Zresztą, krótko mówiąc, tokun sam dobrze nie wiedział, co tem „kutturu" chciał wyrazić.

Właśnie przeleciał z szumem drugi cietrzew, w któ-

rym poznał po piórach jednego z „towarzystwa“. W ogólności było ich trzech rasowych na całym obszarze trzęsawiska — dwaj bracia i stryj, który właśnie po nad nim zapadł na brzozie.

— Co ci wpadło do głowy z twem szu — szu — szu? zaczął stryj nastroszywszy się gniewnie.

— Ja sam nie wiem, kochany stryju, to przyszło samo ze siebie.

— Ale ja wiem; jutro rozpoczynają się coroczne igrzyska o pozyskanie względów cieciorek, a ty musisz raz rozpocząć...

— Ależ, kochany stryju, przecieżeś ty kiedyś również...

— Tak jest, młodziku, ale nie tutaj, nie wśród tego motłochu, a równocześnie nastroszyły mu się pióra...

— Hen wysoko, wśród śniegów, w obliczu gwiazd, w obec krwawiących purpurą skał — mając skalę pod sobą, a jakich naprzeciw siebie współzawodników! Toż to były zapasy i walka i razy!

— A kokotki, kokotki! terrojoj — szu! Gardziel jego wydała ten dźwięk całkiem głośno, a jakkolwiek księżyc już się skrył po za choiny, ze wszystkich zakątków trzęsawiska zabrzmiała odpowiedź.

— Dobrze ci rozprawiać, zauważał młodzik, co ja jednak mam...

— Ty? Czego bym ja nie dokazał, mając twoje skrzydła. — Czy widzisz tam, biały stok, wprost nad obumarłym pniem sosny?

Błędnym wzrokiem, wygięty przed siebie, spojrzał młodzik w dal.

— Księżyc właśnie oświeca ten stok. Wtedy byłem młody.

— Hen wysoko, wśród śniegów, w obliczu gwiazd, w obec krwawiących purpurą skał, mając skalę pod sobą...

Młody cietrzew — nie wydał ze siebie dźwięku; błędnem okiem spoglądał na stok świecący nad pniem sosny. Stryj tymczasem myślał, że siostrzeniec usnął, ukołysany jego opowiadaniem.

— Jak taki młodzieniaszek, biedaczysko może mieć choć przybliżone wyobrażenie o miłości wśród wyżyn, „terrojoj, szu“ — z temi sowy pomknął zmartwiony stryj na trzęsawisko.

Chmury przesłoniły księżyc; zaległa ciemność, choć oko wykol, nastała niezamącona cisza.

Siedząc nieruchomo na gałęzi brzozy, słał młody cietrzew błędny wzrok ku miejscu, w którem zapadające ciemności nocy pochłonęły bielejący stok.

Dziwne, nieznane obrazy nurtowały w jego mózgu. Dojmująca tęsknota podnosiła jego wezbraną pierś.

Nagle wynurzył się ten stok znowu z poza czarnego pnia, lecz nie o białej barwie; teraz krwawi się czerwienią a wraz z nim rozgorzał długi łańcuch stoków i wierzchołków, w cietrzewiu zaś rozpaliło się jakieś pełne pychy, dzikie pożądanie. W około niego brzmiały po trzęsawiskach, ciężarne pożądliwą namiętnością hasła wabienia: kutturu, — ko, ko, ko, lecz on nie zważając na nie, rozpostarł skrzydła, a wzbiwszy się jednym rozmachem w górę, przeleciał ponad parami, rozpoczynającemi miłosne gruchania w zatęchłem bagnie, dążąc ku krwawo czerwonym skałom.

Jaka ułuda! Jakkolwiek słońce wzniosło się już wysoko, jakkolwiek cietrzew pozostawił już za sobą i bór i pola i wody, to jednak biały stok był ciągle daleko.

Przytem dokonywały się pod jego stopami ustawiczne, a tak różnorodne zmiany, że lękał się spuścić na ziemię. Słyszał krzyki i rżenia, to znowu dochodziły go parskania, to wreszcie utrudniał mu dym oddychanie. Nieustający zgiełk i ruch! Raz nawet strzelono doń, całe szczęście, że kawałki ołowiu tylko go musnęły po skrzydłach.

Nagle opanowało go znużenie, wzrok począł zachodzić mgłą, czuł że spada, a był to najwyższy czas, aby w tem spadaniu — o cokolwiek zahaczył pazury. Obcy jakiś dźwięk ocucił go z oszołomienia, a gdy rozwarł oczy, zdjął go nowy lęk. Znalazł się na strzesze, a tuż przed nim szary ptak o nadmuchanej, jak kiszka gardzieli przybierał najrozmaitsze pozy, by pozyskać względy śnieżno białej samicy, która wdzięcznie krygując się, zwracała ku niemu łebek. Ta samica w bieli tak się podobała naszemu kokotowi, że nie mógł odwrócić od niej oczu.

Zawrzało w nim tak, że nie pozostało ani śladu znużenia. Gdy atoli między obu dzióbami poczęła się wymiana dzikich pocałunków, gdy zmięszała się śnieżna biel ze szarzyzną i gdy w oczach kokota samica pełna upojenia oddała się garłaczowi — oburzony kokot rozpostarł loty i odbił się od strzechy.

A w samą porę to uczynił. Łopot jego skrzydeł spłoszył gruchającą parę, a ścigające go okrzyki: sęp, orzeł, niemniej grad kamieni, które w powietrzu krzyżowały się naokoło niego, nauczyły go, że jakkolwiek wiedza ornitologiczna chromała w tej okolicy, zszeregowując go z drapieżcami, to jednak skupiła się na punkcie przekonania o konieczności ich wytępienia.

Był to najwyższy czas do odlotu — co też uskutecznił — dążąc wciąż w tym samym kierunku. Zmrok szarzał. Żarząc się czerwono, wznosiły się tuż przed nim góry, a żar ten oślepiał mu oczy.

Noc łagodziła te blaski, a czarna olbrzymia masa wystąpiła całkiem wyraźnie. Pomknął ku niej; była to stroma, prawie pionowa ściana. Spuścił się chwiejny na wierzchołek. W około ciemna noc, a wśród niej odzywa się jakiś niepokojący szum, jakoweś głuche dudnienie. W mchowiskach było przecież więcej swojsko! Serce kokota biło z trwogi. Świtało; jawiły się pierwsze krwawo-czerwone zwiastuny dziennego światła. Zebrał wszystkie siły i wzbił się w górę — ciągle w górę. Las kończył się; krwawo-czerwona skała wznosiła się pośród śniegów, które w około zaległy góry.

Przysiadł na tej skale. Nad nim zbielałe gwiazdy, pod nim ziemia — zgodnie zupełnie z opowiadaniem stryja.

„Terrojoj — szu — szu“ — zabrzmiał na cały głos, radośnie, w poczuciu własnej godności, kokot.

Z daleka odezwała się odpowiedź. Były to głosy mięszane cietrzewi i kokotek. Kokotek!

— Nuże do mnie a skoro! tokun góral zjawił się i chce wam pokazać, że płynie w nim wasza krew, że pochodzi z jednego z wami pnia.

— „Terrojoj — szu — szu“! Na to zaszumiało w powietrzu a potężny cietrzew spuścił się tuż przed nim na skalę. Dwa potężne pióra zdobiły lustro — miał ostrogi przy nogach, a prychał tak, że nieborakowi tokunowi ściskało się serce z trwogi i lęku.

— Jestem cietrzew-góral — mój papa stąd pochodzi; chęć poznania kuzynów przywiodła mię w te strony.

„Urr — urr“ zaszydził wstrząsając się cietrzew.

— „Kuzynów" — a śmierdzi to bagnem, jak ropucha. Poczekaj, odechce ci się kuzynów — i dalejże na nieboraka kokota.

Ale i ten nie okazał się gnuśny, tem bardziej, że przypomniał sobie o dostojności swego rodu. Toż to tam leciały pióra na wsze strony, toż to barwił się śnieg purpurą!

A tu przybywa drugi i trzeci przeciwnik i wszyscy go opadają. „Ty bagniarzu! Ty torfożerco! I uderzają nań i skubią go. Wtem cieciorki zaczęły wabić; było to dlań ocaleniem. Zaczęła się walka na całej linii. Cały skrwawiony wskutek otrzymanych niezliczonych ran, wczołgał się pod kępę.

„Porządne kuzynowstwo! Zacni krewniacy! O gdy bym już był z powrotem w moich bagniskach"·

Na pobojowisku nastała cisza. Podniósł się z trudem Wtem zmięszał się, ujrzawszy zwrócony ku sobie mały szary łebek, a z niego jak dwie czarne perełki dwoje nieruchomo spoglądających na niego ocząt. Właścicielka ich to jedna z przedniejszych cieciorek. Widok jej uśmierzył w jednej chwili cały ogrom cierpienia kokota — nastroszył się, napuszył pióra — szu — szu — szu.

„Pst — sza! Oni cię mają za nieżywego, a ja lituję się nad tobą". Czarne perełki spojrzały tak serdecznie.

— „Co właściwie sprowadziło cię tutaj"?

Kokotowi nabrzmiały korale.

— „Co mię sprowadziło? Ależ wy sami, z którymi mnie łączą węzły krwi, a wszczególności dla ciebie przybyłem, piękna kokoto!" I dalejże dreptać i cmokać mimo ostrzegających znaków ciecfory.

— „Jakto, więc w mchowiskach nie macie samic"?

— „Owszem, ale ja jestem potomkiem cietrzewia z gór; spoglądnij na me lustro, na moje pióra"!

I kokot zwrócił lustro ku cieciorze.

— „Więc dla tej przyczyny zdają ci się niegodne ciebie kokotki z mszarnych kęp"?

— „Są zupełnie niegodne". Kokota wybuchła śmiechem.

— „O ty pyszałku, ty głupcze, a czyż lustro i piórka odgrywają jaką rolę w miłości. Więc wy dotychczas nie nabraliście rozumu, tam w nizinach? A przy tem skąd te wymagania, czy nie czujesz sam, jak obrzydliwie trącisz bagniskiem. Pfe!

„Szu — szu, odzywały się głosy z pól pod nimi".

— „Czy słyszysz? Kochanek mię wzywa. Jeżeli cię tu napotka, pożegnasz się z życiem. Litowałam się nad tobą myśląc, żeś zbłąkany, lecz przekonawszy się, żeś tylko głupiec, nie czuję już dla ciebie litości".

Wymówiwszy to pomknęła między gałęzie. Młodzieniaszek jak gdyby dostał obuchem w łeb. Stryjaszek wszystkiego nawarzył. Jakże się w obec tego cieszył na myśl, że nazajutrz, znajdzie się napowrót wśród swoich bagien.

Nagle zaszumiało pod nim, a szum ten wznosił się coraz wyżej; poznał, że zdradziła go piękna cieciora. To sprawiało mu ból większy, niż ból sprawiony przez wszystkie otrzymane rany. Jednym zamachem zerwawszy się tak się odbił, że raczej spadł niż zleciał z góry, musnąwszy tylko wierzchołki sosen w przelocie. Zmysły odzyskał dopiero w dolinie i zączął rozpamiętywać, co właściwie szczególnego było w tamtejszych cieciorach i w tych obumarłych, wyziębłych, śniegiem pokrytych polach, przez które wyjąc przeciągały wichry.

I opanowała go bezgraniczna tęsknota za bagniskami; i leciał i leciał bez przystanku, bez wytchnienia, jakkolwiek ból w skrzydłach nie mógł zatrzeć w jego pamięci nieszczęsnego turnieju.

Na strzesze gardacz trzymał znowu w objęciach kochankę w bieli.

Przyśpieszył lotu i przybył do bagnisk, gdy choiny żarzyły się w łagodnych promieniach zachodzącego słońca.

Och, jakże tam było pięknie. Już z daleka rozpoznał siedzącego samotnie na brzozie stryjaszka, ze wzrokiem utkwionym w góry. Znużony, bez tchu wzleciał ku niemu.

— „Rzeczywiście, że to był dobry pomysł z tymi kuzynami z gór; właśnie stamtąd wracam.

— Bryzgnęli mi wymówką, że cuchnę bagnem; opadli mię bez litości. A twoje uwielbiane kokotki wyśmiały mię, gdy im sprodukowałem lustro i pióra. Tam one nie mają najmniejszego znaczenia. Ot szaruchy, niepokaźne kurzyska. Musiałbym był zadać sobie przymus — by w ogóle tknąć się którejkolwiek.

„Jakto, więc bez znaczenia — lustro i piórka tam bez znaczenia? Czyż wyrzekła to w istocie? spytał stryjaszek.

— „Tak jest".

— „No, młodzieniaszku w takim razie pokażę ci coś, skoro zaświta. Śpij teraz i wytchnij po podróży. Musisz się na jutro wywczasować".

— „Bez znaczenia, także coś"! szemrał długo po cichu.

— „Piórka nic nie znaczą! — No, jeżeli tak, to po prostu, kpię z gór".

Dniało. Bagniska poczęły się ożywiać. Szu — szu — szu, brzmiało ze wszech stron. Pośród wolnego placu stryj i siostrzeniec szli w zawody pląsając i zataczając liry. Obaj rozpięli pióra a cieciorki przejęte czcią otoczyły ich i z pożądaniem spoglądały na piękne lustra. Rywale trzymali się w pełnem respektu oddaleniu. I więcej było słychać okrzyków hołd wyrażających, niż wojennej wrzawy.

Młody kokot znajdował się w błogiem usposobieniu i z najwyższą pogardą rzucał przelotne spojrzenia ku krwawo-czerwonemu stokowi, który się w brzasku wyłaniał.

Z tęsknicy za górami wyleczył się stanowczo i pogodził się z moczarami, w których lustro i pióra mają jeszcze wyłączne znaczenie, nawet o ile one występują u dzieci i wnuków, które nic z owej tęsknicy po przodkach nie oddziedziczyły.

Stryjaszek natomiast, zaniechawszy raz na zawsze niedorzecznych marzeń o górach, został królem bagnisk i praojcem niezliczonej ilości cietrzewi górskich. Imię jego bywa dotychczas ze czcią wspominane wśród mokradeł.

(*Br. Perfall, Jugend*).



O odszukiwaniu zbarczonego ptaka.

Bardzo często zdarza się, iż wyżeł pochodzący nawet z wyborowej psiarni, obdarzony znakomitym węchem, zbarczonej kuropatwy, lub innego ptaka znaleść nie może. Z tego powodu wielu myśliwych uskarza się na kiepski

wiatr wyżłów swoich, lecz bardzo często zupełnie niesłusznie. Uważać wyżła za pozbawionego wiatru można wtedy tylko, gdy pomimo sprzyjających warunków przy szukaniu nie odnajdzie zbarczonego ptaka; lecz jeśli jest na dworze silny wiatr, wielki upał, lub gdy zbarczony ptak spadł w gęstych zaroślach, krzakach lub cierniach, po których chodzenie dla wyżłów (szczególnie o krótkiej sierci) jest nadzwyczaj utrudnionem, wtedy choćby i wyżeł nie znalazł ptaka, nie będzie to jego winą. Gdy ptak spada po strzale, myśliwy nie powinien nigdy, mając psa dobrego, pierwej aniżeli on zbliżać się do zabitej sztuki; gdyż nie wiemy napewno czy zwierzyna leży w tem miejscu gdzie spadła, czy też zbarczona ucieka; gdybyśmy więc podeszli i nie znaleźli jej w miejscu, w którem spadła, zaczynamy zwykle w kółko chodzić — tym sposobem mylimy psu ślad i odwiatr zbarczonego ptaka. Po spadnięciu zwierzyny, myśliwy powinien, nie ruszając się z miejsca, kazać psu jej szukać. Gdyby wyżeł nie widział gdzie spadła, w takim razie powinniśmy zauważyć to miejsce i zatrzymując się na jakie 2—3 kroki od niego, kazać psu we wskazanym kierunku szukać. Trudniej jest przy dubletach, gdyż wyżeł wtedy więcej się gorączkuje i nie wie, którą z zabitych sztuk pierwej ma aportować. Polując zwykle z chłopcem każę mu, w takim wypadku, zauważać miejsce, w którem spadł ptak z pierwszego strzału, sam zaś zwracam uwagę na drugie; psa zaś obowiązkiem jest aportować naprzód sztukę z pierwszego, a potem z drugiego strzału. Czasami, i to nawet przy dobrym psie, ginie bezpowrotnie zwierzyna, z wyżej opisanych powodów. Nieraz polując którego z następnych dni, szczególniej jeśli zbarczonym ptakiem jest kuropatwa, (gdyż zwierzyna ta trzyma się jednego miejsca) odnajdujemy zbarczoną sztukę pomiędzy zdrowemi i wyżeł łapie ją żywcem. Z pięć lat temu miałem zdarzenie, iż zbarczoną kuropatwę znalazłem w stadzie pomiędzy zdrowemi, w dwa czy też trzy tygodnie po postrzeleniu jej, co wnosiłem z silnie zazielenianej i cuchnącej już rany na skrzydle. Zwykle sztuka zbarczona nieodnaleziona staje się pastwą: lisa, psa, kota, kuny, łasicy lub t. p. szkodników. Myśliwy więc koniecznie starać się powinien, aby zbarczoną sztukę *„coûte que coûte“* odnaleść i nie dawać za wygraną, jeśli nawet stosunkowo dość długie poszukiwania nie są uwieńczone pomyślnym skutkiem Dobrze jest też obchodzić kilka razy zdaleka w promieniu 15—20 kroków w różnych kierunkach miejsce, w którem spadła zwierzyna, gdyż pies wtedy łatwiej może złapać wiatr t. j. zwietrzyć. Wiele razy wyżeł po długotrwałych, bezowocnych poszukiwaniach zbarczonej kuropatwy naraz zwietrzy ją i dogoniwszy o kilkadziesiąt nieraz kroków od miejsca, w którem spadła z wielką radością przyaportowuje. Podobne wypadki prawie co rok zdarzają się. Wiadomo, że gdy zwierzyna spadnie zabita na miejscu, pies z najlepszym wiatrem, jeśli nie widział gdzie, z trudnością, lub wcale znaleźć jej nie może, — ponieważ z zabitej sztuki nie wydziela się wtedy zapach dający psu odwiatr — z chwilą gdy zwierzyna żyć przestaje, — pies jej nie czuje, jeśli zaś jej szuka — spełnia jedynie rozkaz pana swego, nie może jednak korzystać z wiatru, gdyż odwiatr, jakem to wspomniał dopiero co, z nieżywej sztuki nie zawiewa. Powinniśmy się więc śpieszyć i gdy zwierzyna spadnie, zaraz jej szukać, rzadko bowiem zwierzyna spada już martwą. Wyżeł zmęczony bardzo długotrwałym nieraz marszem w nieprzyjaznych dla siebie warunkach t. j. gdy obfita rosa lub deszcz, podczas upałów — taką zbarczoną sztukę nie łatwo, lub wcale nie odnajdzie i to nie będzie jego winą, albowiem gdy pies bardzo zmęczony, podczas upału, zasycha mu w nosie i pył zwierzyny stanowiący odwiatr nie trzyma się suchych ścian śluzowych jego nosa, czyli pies nie czuje; obfita rosa, lub deszcz zalewają mu trop i zmywają odwiatrowy pył. Lecz tylko obfita rosa jest niepożądana, gdyż nikła owszem jeszcze dodatnio wpływa na odszukiwanie zwierzyny, ponieważ pył z niej (odwiatr) łatwiej się na źdźbłach trawy osadza, — a tem samem pies lepiej czuje.

Kończąc niniejszą relacyę upraszam kolegów myśliwych, by się nie gniewali niesłusznie na swych faworytów, gdy nie znajdą zabitej kuropatwy, lub innego ptaka, gdyż we wielu razach nie ich wina, — raczej niech zastosują się do wypróbowanego przezemnie sposobu odszukiwania postrzelonego ptastwa — ku swej uciesze i zachowaniu w całości honoru wyżlego.

Stefan Ostrowski.



Z cyklu „Sonetów“.

I.

Świt w lecie.

Na wschodzie lśni już łuna slonecznych płomieni!
Orkiestra pól i lasów lutnie swoje stroi!
Gwiazdami z mlecznych szlaków rosa się już poi
I błyszcząc niemi sama, brylantem się mieni!

Jutrznia wpadłszy na puchy półsennej zieleni,
Budzi ją jasnych skrzydeł ożywczym podmuchem,
Kwiaty oczy rozwarły, zbudzone tym ruchem,
Zmrużonymi kielichy pijąc snop promieni!

W końcu na złotym wozie zaprzężonym w chmurki,
Wjeżdża wielki król światła w swe państwo błękitu!
Gwiazdy, blaskiem rażone, w lazur dają nurki

I topią złote głowy w puchach aksamitu!
Tak i z myśli skazańca uciekają chmurki
Snów, tęczą malowanych za nadejściem świtu!

II.

Południe w lecie.

Słońce w swojej potędze doszło do zenitu
I leje straszne blaski strugami promieni
Na złote zbóż powodzi, na morze zieleni,
Olśnione dyademem monarchy błękitu!

Przyroda nakarmiona blaskami do sytu
Półsennie odpoczywa, pracą się nie trudzi
I wiatr jej skrzydły swemi do życia nie budzi,
Bo żar południa ziemi potrzebny do bytu!

Lecz kiedy słońce sceptr swój pochyli bogaty
I rzuci nim w obłoków tęczowych chaosy,
Ptasząt wtedy z zarośli obudzą się głosy,

Wietrzyk świeży przyleci po drodze z zachodu
I ziemię krzepić będzie aż do nocy chłodu,
Rozwinąwszy w błękitach gwiazd perliste kwiaty!

III.

Wieczór letni.

Słońce się już przed chwilą w bezdnie zanurzyło
I zakryło swą głowę miedzianyn obłokiem!
Światło za niem gasnącym uciekło potokiem,
Szczyty gór w złocie kąpiąc, nim się w nich stopiło!

Wtedy czoło Seleny blaski swe roztliło
I księżyc wpłynął cicho na swej złotej łodzi,
Po lazurów przeczystych wiosłując powodzi,
Po bezkresnem przezroczu, co gwiazdami lśniło!

Już prawie noc zapada! Słychać ptaków szumy,
Co dążą gdzieś od wschodu bezbrzeżnymi szlaki!
Czasem się konik polny odezwie wśród rosy!...

Mnie ptaków klangor wyrwał z głębokiej zadumy
I słucham, czy nie powie z tych wędrowców jaki,
Co słychać... w stepach!... Cicho!... Już przebrzmiały głosy!

Albert Mniszek.



Żywe rysięta w Mizuniu.

U p. Józefa Maultza, c. k. zarządcy dóbr państwowych w Mizuniu, jest na wychowaniu 2 rysiąt żywych, które tam dostały się w następujący sposób: w ubiegłym miesiącu pobereżnik Dutka, zajęty czyszczeniem zrębu młodnika pod górą Lutą, usłyszał pisk a następnie spostrzegł pod złomem skały 2 młodych zwierząt, o których sądził, że są małymi wilczkami. Zbliżył się ku nim, lecz obawiając się, czy w pobliżu nie ma wilczycy matki, szepnął swemu towarzyszowi, by mu przyniósł strzelbę. Gdy się ten towarzysz oddalił, Dutka rozglądając się, zoczył nad sobą na złomie skały matkę rysicę z wyciągniętymi pazurami, złożoną do skoku. Stojąc nieruchomie oczekiwał parę chwil przybycia swego towarzysza, a gdy ten podał mu strzelbę, zmierzył ku górze w czoło rysicy, a trafiwszy kulą, zwalił ją do nóg swoich. Strzał był niebezpieczny i trudny, bo czoło u tego zwierzęcia jest nader wąskie. Przytem wieśniak ten nie był wcale świadomym niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdował stojąc nad młodemi rysiętami, a mając nad sobą ich matkę. Gdyby był zrobił krok jeden i ruszył małe, nieświadomość swoją byłby zapewnie przypłacił życiem, gdyż jest to zwierzę w ogóle niebezpieczne: karpacki tygrys — z całą zajadłością tygrysa bengalskiego, wcale nawet podobny do niego a różniący się chyba tylko mniejszymi wymiarami, bo o długości $1^1/_2$ metra.

Gdy przyniesiono zabitą rysicę i małe do zarządu mizuńskiego, łaziły rysięta z piskiem i właściwem im syczeniem po trupie matki szukając pokarmu... Do dziś są zdrowe i chowają się dobrze. Są jeszcze prawie ślepe, silną okryte siercią koloru szarawego, mają około 2 tygodni wieku, o wymiarach dwudziestu i kilku cm. długości. Karmią je jak małe dzieci po utracie matki mlekiem krowiem z flaszeczki. Nazajutrz po zastrzeleniu rysicy i złowieniu młodych, widziano w tem samem miejscu ślady rysia, który zdrapał pazurami to całe miejsce, gdzie się jego rodzina kryła...

P. Maultz odniósł się do arcyksięcia Leopolda Salwatora, który jest właścicielem polowania na obszarach mizuńskich z zapytaniem, co ma dalej względem tych rysiąt zarządzić. Ze względu na to, że ryś jest nader rzadkiem zwierzęciem karpackiem i że o ile moje wiadomości sięgają, nikt jeszcze w kraju żywego rysia nie posiadał a tem mniej młodych rysiąt, a nie posiada takich okazów nawet Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, wskazanemby było, by interesowani wczas postarali się o pozyskanie tych właśnie okazów.

Przy tej sposobności podaję jeszcze jedno zdarzenie ciekawe dla interesujących się życiem naszych zwierząt lub przygodami myśliwskiemi.

W innych regionach dóbr kameralnych mizuńskich dostała się w żelaza głowa końska i to głowa z konia nieżywego. W niedalekich od siebie odstępach nastawiono cztery żelaza na niedźwiedzie. Jako przynętę postawiono nieżywego konia. Niedźwiedź schwyciwszy konia, ciągnął go za sobą. Głowa końska zawadziła o żelaza i została tam, niedźwiedź uszedł porwawszy tułów koński.

Z Przeglądu. *Ks. B. N.*



Korespondencye.

Pilzno, 4. czerwca 1901.

Dnia 2. b. m., to jest w niedzielę, przybył do mnie p. Dr. Bujnowski, wracając z przejażdżki kołem od strony Zassowa i słowami „każ zaprządz konie, pojedziemy drogą powiatową ku Lipinom, a zabijesz orła“, wprawił mnie w zdumienie do tego stopnia, że w pierwszej chwili sądziłem, że to jakiś nowy „kawał“ kochanego doktora. Była godzina 9-ta wieczór, księżyc świecił jasno, pomyślałem tedy, że choćby to był nawet duży jastrząb, warto przejechać trzy kilom., aby szkodnika ubić. Kazałem zaprzęgać śpiesznie, pomagając służącemu a za 10 minut byliśmy na miejscu, gdzie według wskazówek doktora, orzeł na wierzbie przed godziną siedział. O sto kroków kazałem stanąć. Z dubeltówką opatrzoną ładunkami śrótowymi Nr. 4 w ręku, poczęliśmy się skradać wzdłuż drogi. Buciki moje (choć dawno zapłacone) skrzypiały niemiłosiernie tak, że doktor obdarzył mnie kilku dosadnymi epitetami. Opatrujemy szereg wysokich wierzb, zostaje już tylko jedna ostatnia, a potem goła płaszczyzna; nadzieja prawie zgasła,

w dodatku z przeciwnej strony nadjeżdża pojazd z dwoma księżmi, prognostyk wcale niewesoły. Dochodzimy do ostatniej wierzby i spostrzegam na niej 10 do 12 metrów wysoko, cień duży ciemny, podnoszę broń i bez mierzenia, gdyż to w obec cienia wierzby było prawie niemożliwem — strzelam, chwila oczekiwania, coś zwisło, nareszcie ciężko upadło, podchodzę bliżej, a może to pawica, która często lubi od naszego dziekana na wędrówkę się wybrać, lecz jakież zadowolenie nastąpiło, gdy poznaliśmy, że ubity ptak jest rzadkim, a u nas prawie niewidzianym orłem o pięknych skrzydłach, 2 metry rozpiętości mających. Zdobycz przesłałem bezwłocznie do p. Dzikowskiego we Lwowie, prosząc o zajęcie się wypchaniem ubitego orła, o ile jeszcze historyę naturalną pamiętać mogę, należącego do rodzaju orłów przednich, o potężnym dziobie, silnych nogach i pięknych szponach.

O miłem tem dla mnie zdarzeniu donoszę Szanownej Redakcyi, i nadmieniam, że drugiego dnia jadąc ku Jasłu widziałem na znacznej wysokości coś do ubitego orła podobnego, może to towarzysz, szukał swego druha lub samica samca.

W. Szczurkiewicz.



Z Towarzystwa św. Huberta

Dnia 1. czerwca 1901 odbyło się o godz 7-ej wieczorem w sali kasyna miejskiego walne zgromadzenie członków Towarzystwa myśliwskiege im. św. Huberta we Lwowie.

W sprawozdaniu swojem, przedłożonem Walnemu Zgromadzeniu, a nam przesłanem, pisze Wydział:

„I w tym roku znowu, jak w sprawozdaniach naszych z trzech lat poprzednich, wysuwa się na plan pierwszy sprawa, która nie tylko Członków naszego Towarzystwa, ale również szerokie koła myśliwych tego kraju zajmuje żywo i gorąco, to jest sprawa dotycząca zmiany postanowień §. 41. ustawy łowieckiej z r. 1897“.

„Towarzystwo nasze, mając na celu zarówno własne dobro, jakoteż pomyślny rozwój licznych drużyn myśliwskich, uważało za swój obowiązek wystąpić z pierwszą inicyatywą w tej sprawie“.

„Jedynie z pod znaku Towarzy stwamyśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie zatrąbiono pobudkę do podjęcia akcyi ochronnej przeciw wadliwości przepisu tego paragrafu“.

„Zainicyowano ją w Wydziale Gal. Towarzystwa łowieckiego i na jego Walnych Zgromadzeniach i w jego organie: „*Łowcu*“.

„Skutek tej akcyi był ten, że Gal. Towarzystwo łowieckie zrozumiawszy, jak dalece zgubnem jest dla egzystencyi Towarzystw i spółek myśliwskich, a tem samem dla kultury łowieckiej postanowienie rzeczonego paragrafu, stanęło wobec Sejmu z petycyą, domagając się naprawy złego. Dosłowną osnowę wniosku sejmowej komisyi administracyjnej w tej sprawie — na skutek rzeczonej petycyi — przytoczyliśmy w zeszłorocznem sprawozdaniu. Pokrzepił on nieco w nas ducha, bo bądź co bądź, jeżeli go tegoroczny Sejm uchwali w tem samem brzmieniu jak opiewa, to zwróconą nam będzie swoboda polowania w niedziele i święta każdym sposobem, prócz polowania w te dni z nagonką“.

„Gdy w rozpoczętej raz akcyi nie ustaniemy, lecz podniesiemy sprawę ponownie w Gal. Tow. łowieckiem i pod jego egidą pójdziemy i w tym roku do krajowego ciała prawodawczego, to nie traćmy przynajmniej nadziei, że może ziszczą się nasze gorące pragnienia“.

„Dawszy tu naczelne miejsce kwestyi ogólnie myśliwskiego znaczenia, przystępujemy do omówienia czynności Wydziału, tyczących się wyłącznie spraw naszego Towarzystwa“.

„Rok ubiegły, który się rozpoczął nie pod nader pomyślnymi warunkami, zaznaczył się jednak w dziejach naszego Towarzystwa bardzo dodatnio. Luki w szeregach naszych, spowodowane nieszczęsnym przepisem §. 41. ust. łow. wypełniły się nowozaciężnymi zwolennikami kultu św. Huberta! Wbrew więc złowrogim wróżbom puszczyków — stajemy do kampanii myśliwskiej w tym roku w pełnym szyku bojowym“.

„Nie uroniliśmy też ani jednej piędzi z naszych obszarów łowieckich, ale owszem poodnawialiśmy na dalsze sześciolecie ekspirujące w tym roku dzierżawy, z których najważniejszym nabytkiem jest kniela Turka pod Kołomyją“.

„Z nowych terenów zadzierżawiliśmy obszar wynoszący 2.400 *ha* (las, krzaki, pola i błota), należący do majątku gminy miasta Mikołajowa nad Dniestrem, wraz z rustykalnymi gruntami tej gminy. Z obszarów tych, jako otaczających w półkolu rewiry kniejowe Rozwadowa i Stulska, stwarzamy na razie rewir gospodarczy dla podniesienia zwierzostanu w tych kniejech“.

„W drodze kompromisu uzyskało Towarzystwo prawo polowania na „Pomiarkach“ t. j. na enklawie należącej do gminy Drohowyża, a stanowiącej najwydatniejszą w łup myśliwski część błot naddniestrzańskiego rewiru. W ten sposób krom zaokrąglenia kompleksu tej pepiniery skrzydlatej rzeszy, usunięto zarazem granicę, co obecnie ułatwi ogromnie naszym członkom swobodę polowania na tym terenie“.

„Również w drodze kompromisu uzyskaliśmy prawo polowania na łąkach i błotach dworskich w gminach Laszki i Sroki a to w zamian za odstąpione właścicielowi tych majętności orne grunta rustykalne rzeczonych gmin — na użytek kultury łowieckiej“.

„Polowanie tak na łąkach i błotach dworskich, jakoteż na łąkach i błotach rustykalnych wspomnianych gmin, ustanowionem zostało dla naszych członków wyłącznie na ptactwo przelotne, a to ze względu na zamiar rozmnożenia zajęcy i kuropatw w rzeczonym rewirze“.

„Obfitą w zwierzynę knieję Turkę, to istne eldorado myśliwych, zadzierżawiliśmy nadal pod dotychczasowymi warunkami. Spadł nam atoli z barków ciężar pokrywania nadal ewentualnych niedoborów tej kniei, bo podjął się zastąpić nas w tem gorliwy o dobro Towarzystwa, członek onegoż, p. Doms“.

„Pod względem myśliwskim był ten rok również pomyślnym, ale jedynie co do rezultatu łowów na grubego zwierza. Oto wśród zdobytych trofeów ścieli się pod nogi naszych nemrodów, skóra niedźwiedzia, a 10 par rosochów jelenich i 13 par kłów dziczych zdobi ich zbrojownie. Trofea te świadczą najwymowniej, że nie marne nasza gospodarka łowiecka, nasz trud i grosz, skoro tam, gdzie przed niewielu jeszcze laty wstecz, król gór naszych,

był tylko rzadkim — jakkolwiek zawsze mile podejmowanym gościem — dziś stał się licznym i stałym mieszkańcem — przepraszam — obywatelem naszych kniej‘.

„Dank gorący i pełne zasług uznanie za doprowadzenie zwierzostanu do rozkwitu w naszych rewirach górskich, należy się z tego miejsca zarówno p. Pieglowskiemu jako łowczemu, p. Galińskiemu, miejscowemu zarządcy tamtejszych lasów, niemniej też p. Jędrzejowskiemu. Ich to znakomitemu znawstwu myśliwstwa, energii i gorliwości, zawdzięczamy tak obfity łup myśliwski“.

„Natomiast wydatność ubitej zwierzyny drobnej jest nieco niższą cyfrowo od zeszłorocznego rezultatu. Ale nie wina w tem naszej gospodarki, która była bardzo intenzywną, lecz wpłynęły na to w pierwszym rzędzie anormalne u nas od trzech lat stosunki klimatyczne. W tych latach, myśliwy przyrodnik, znajdował w miesiącu styczniu pierwszy pomiot zajęczy, który naturalnie ginął następnie w uściskach mrozu; pomiot zaś marcowy — ginął skutkiem mokrej wiosny. Silnie też skutkiem wylewów grasowała wśród zajęcy i sarn motylica; dużo więc zwierzyny zginęło marnie. Ubytek ten trzeba będzie uzupełnić czeskimi, morawskimi lub węgierskimi zającami; do tego trzeba jednak wszystko racyonalnie przygotować“.

„Wydział w tym roku nie żałował grosza na karmę dla zwierzyny, na lizawki, żłobki i tryzuby; na premie za ściganie kłusowników, strzelanie drapieżników — słowem na wszystko, co się odnosi do racyonalnej gospodarki łowieckiej. Gdyby więc nie wczesne parkotnie zajęcze, motylica, powodzie i t. p. vis major — powinnyby się roić zwierzyną nasze rewiry“.

„Okrasa polowań naszych, lis — a zarazem największy kłusownik — ku umartwieniu prawdziwych myśliwych, natomiast z pożytkiem dla zwierzostanu — wyginął prawie doszczętnie w rewirach naszych w żydaczowskim powiecie. Snać wytruł go zarazek tyfoidalny, podawany myszom“.

„W zeszłorocznym Zjeździe łowieckim wzięli udział nasi członkowie w dość znacznej liczbie i kilka też zdobyli ładnych nagród“.

Sprawozdanie to, proste w układzie a jasne w przedstawieniu, daje każdemu członkowi wyczerpujący obraz gospodarki majątkiem Towarzystwa, zadzierżawionych obszarów polowania, wysokości czynszów za nie opłacanych, w końcu wykaz ubitej zwierzyny pożytecznej i szkodliwej. Interesujący wykaz ten podajemy w całości:

W sezonie 1900 do 1901 padło:

Niedźwiedź	1	Z przeniesienia	1756
Jeleni	10	Jarząbków	13
Dzików	19	Kuropatw	157
Lisów	21	Przepiórek	189
Rogaczy	64	Chruścieli	133
Zajęcy	371	Gołębi	32
Słonek	109	Puhaczów	3
Dubeltów	104	Jastrzębi	121
Kszyków	652	Bocianów	21
Batalionow	5	Wron i srok etc.	702
Kaczek	328	Psów	92
Kulonów	5	Kotów	67
Kulików	57	Kun	2
Siewek	9	Lasic	7
Ibis *)	1	Ogółem sztuk	3299
Do przeniesienia	1756		

*) Ibisa ubił na Nadniestrzu Dr. T. Krobicki.

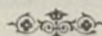
Ze sprawozdania widać również, że Towarzystwo to, najstarsze i najpotężniejsze niewątpliwie w całym kraju, nie zasklepia się jak ślimak we własnej skorupie, lecz interesuje się gorąco ogółem spraw łowieckich. Spis członków zawiera wiele nazwisk znakomitych myśliwych — uderza jednak tem, że *z grona 61 członków tak poważnego Towarzystwa 33 nie należy do Towarzystwa łowieckiego*.

Po przyjęciu do wiadomości sprawozdania z czynności Wydziału i komisyi rewizyjnej, zatwierdzeniu preliminarza i udzieleniu Wydziałowi absolutoryum z rachunków, przystąpiono do wybobów.

Do prezydyum na r. 1901|2 wybrano ponownie tych samych członków, mianowicie pp.: Seweryna Krogulskiego prezesem; Dr. Aleksandra Małaczyńskiego zastępcą prezesa; Władysława Horvatha sekretarzem; Wiktora Kornbergera zastępcą sekretarza; Alfreda Dzikowskiego skarbnikiem.

Następnie po wyczerpaniu porządku dziennego i wyrażeniu rzetelnego podziękowania przewodniczącemu, skarbnikowi i sekretarzowi — zamknięto posiedzenie.

Towarzystwu życzymy jak najlepszego powodzenia i dalszego rozwoju — żałujemy tylko że i inne, tak liczne Towarzystwa w kraju, które gal. Towarzystwu łowieckiemu znaku życia nie dają, nie poczuwają się do tego, żeby nadsyłać roczne sprawozdania ze swego działania. Wszak łamy naszego pisma na rozcież otwarte dla takich relacyi, a sądzimy, że niejedno znalazłoby się, w czemby nasze Towarzystwo mogło pomódz takiemu kółku myśliwskiemu, walczącemu niejednokrotnie z rozlicznemi trudnościami. *S. M.*



Kronika.

Nasze ilustracye. W Truchanowie, powiecie stryjskim, w roku zeszłym w lecie, w czasie obławy na dziki, robiące szkody, wpadły psy p. G., znane ze swojej ciętości wobec dzików, dwukrotnie na małe jelonki. Biedne stworzenia, zalęknione, przywarowały i dały się bez trudu złapać nadbiegającym myśliwym. Dzisiaj trzymane w ogrodzeniu wyrosły, jak widać na fotografii, udzielonej nam łaskawie przez p. A. G., bardzo ładnie i przyzwyczaiły się zupełnie do opiekującej się nimi służby.

Zając utopiony przez psa. W jednem z pism łowieckich niemieckich podaje leśniczy Gaibel z Cappel następujący fakt. Potrzeba było na kuchnię zająca — idę więc z moim półtorarocznym psem legawym szorstkowłosym na łąkę, na której zając pewny. Przy jednym z pierwszych krzaków staje „Hallo“ — zając wymyka, ale zaraz ruluje, dosięgnięty strzałem. Pies chwyta zająca, który zaczyna kniazić — nie namyślając się biegnie z nim do rowu z wodą, przy którym stoję, zanurza zająca w wodzie, trzyma go pod nią z minutę, ale zawsze dzierżąc go w pysku i potem dopiero aportuje go. Co mogło psa spowodować do tego czynu — czy myślał, że prędzej zająca w ten sposób życia pozbawi, czy też może chciał położyć koniec kniajeniu, które działało mu na nerwy? Tak pyta p. Gaibel. Jesteśmy równie ciekawi, co mogło być przyczyną tej mokrej egzekucyi, ale ciekawość naszą jeszcze dalej posuwamy, bo pragnęlibyśmy wiedzieć, czy wypadek ten rzeczywiście się wydarzył, czy pies przypadkowo zająca do wody nie upuścił i czy wydobywanie go z wody nie trwało dłużej, z tego powodu, że pies musiał nos do wody wkładać, czego jak wiadomo nie lubi.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.